ŚWIAT i ŻYCIE

Ilustrowany dodatek tygodniowy
„DZIENNIKA ZACHODNIEGO"

Katowice, 11 kwietnia 1948 - Rok III

Nr 14

Dr Kazimierz Popiołek

Cały Śląsk znów z Macierzą

Spełniony proces wieków

Przez szereg wieków, aż po początek naszego stulecia, istniał na terenie Śląska charakterystyczny podział który krótko, najbardziej ogólnie, można by ująć: niemieccy panowie i polski lud.

Od pierwszych bodaj chwil, gdy wśród miejscowej polskiej ludności pojawiać się zaczęli z zachodu niemieccy przybysze, umieli zaraz zapewnić sobie uprzywilejowane stanowisko, możliwie najlepsze warunki bytu gospodarczego. Tak było z klasztorami, uzyskującymi najbogatsze uposażenia w ziemi, podobnie było z różnymi zachodnimi rycerzami, którzy wkradłszy się w łaski Piastowskich książąt umieli na ich dworach zdobyć pływowe stanowiska i uzyskiwać bogate nadania ziemskie. Gdy w wieku XIII i XIV napłynęła do śląskich miast fala niemieckich kolonistów, przybysze ci potrafili zapewnić sobie jak najkorzystniejsze warunki materialne. Usadowili się głównie w miastach Śląska Dolnego, korzystnie pod względem handlowym położonych, zajęli się przeważnie handlem, dającym największe możliwości zarobku, oraz najpopłatniejszymi rzemiosłami. Bardzo rychło w miastach tych stali się finansową arystokracją, która równocześnie zagarnęła w swe ręce rządy miejskie. Tak było we Wrocławiu, tak



Zamek krzyżacki w Kwidzyniu, jednej z najstarszych osad słowiańskich w tych stronach



Grobowiec Henryka IV z kościoła św. Krzyża we Wrocławiu. Na tarczy widoczny orzeł książąt śląskich z charakterystycznym półksiężycem na piersi. Po obu stronach głowy dwa małe herby z orłami Piastów

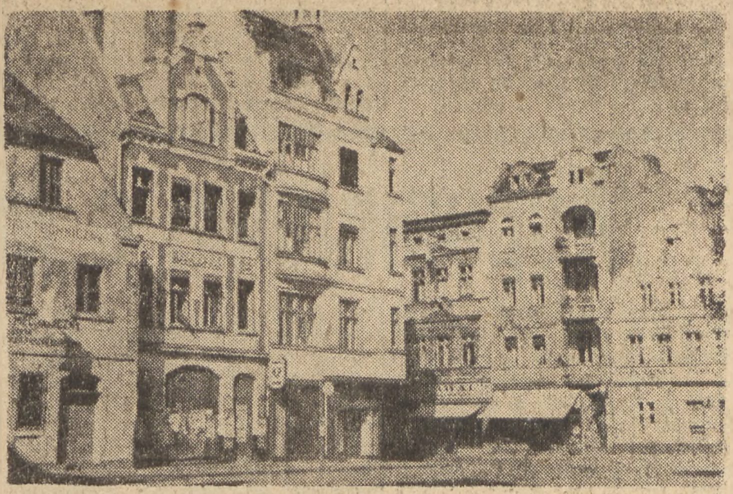
w wielu innych miastach Śląska Dolnego. **Po wsiach, gdzie jednak osiedliło się znacznie mniej niemieckich osadników, potrafili czę[illegible] dla siebie stanowiska sołtysów, które obok władzy nad [illegible] znacznie lepsze wyposażenie w ziemię niż je mieli polscy włościanie.**

Przejście Śląska w wieku XIV pod panowanie czeskich królów, zniemczonych Luksemburgów, a w wieku XVI w ręce niemieckich Habsburgów, stworzyło podstawę dla wzrostu znaczenia i roli niemieckich przybyszów. Rosną w bogactwa i znaczenie zniemczone miasta Śląska Dolnego, z Wrocławiem na czele. Zwiększa się liczba niemieckich książąt i rycerstwa. Dzieje się tak na skutek tego, że Habsburgowie korzystali z każdej sposobności, aby na śląskich księstwach osadzać członków swej rodziny, względnie innych zasłużonych dla siebie panów niemieckich. Ponadto sami Piastowscy książęta oddalali się z czasem coraz bardziej od polskiej kultury, wiązali się coraz mocniej z dworami niemieckich panujących, stawali się Niemcami. Podobnie działo się i w obrębie warstwy szlacheckiej. Szeregi niemczącej się z czasem w dużej mierze szlachty śląskiej pomnażali niemieccy przybysze. Również i duchowieństwo, zwłaszcza wyższe, stawało się z czasem prawie całkowicie niemieckie.

Zmiana struktury narodowościowej

Na skutek tego podwójnego procesu: z jednej strony napływu na Śląsk niemieckich książąt, szlachty, duchownych, mieszczan, urzędników, a z drugiej na skutek stopniowego germanizowania się śląskich książąt i dużej części szlachty, uległa zmianie struktura narodowościowa Śląska. **Polskim, w całej swej ogromnej masie, pozostał lud wiejski, i to tak na Górnym Śląsku jak i w wielu jeszcze okolicach Śląska Dolnego. Polskim też było przeważnie mieszczaństwo małych, ubogich miast Śląska Górnego oraz gdzieniegdzie uboższe grupy rzemieślnicze niemczących się coraz bardziej miast Śląska Dolnego. Polskim też było w dużej mierze niższe duchowieństwo Śląska Górnego, w szczególności na terenie dekanatu pszczyńskiego i bytomskiego, które aż do początku wieku XIX należały do diecezji krakowskiej. (Fryderyk II, król pruski, zagarnąwszy Śląsk w połowie wieku XVIII, znalazł na terenie tych dwu dekanatów zaledwie dwóch księży, rozumiejących po niemiecku!).**

Powstanie na Górnym Śląsku, w końcu wieku XVIII a następnie wspaniały rozwój w ciągu wieku XIX wielkiego przemysłu, sprowadził tutaj nową falę niemieckich przybyszów. Byli to kapitaliści, przedsiębiorcy, dyrektorowie, inżynierowie, wreszcie majstrowie górnośląskich kopalń, hut i fabryk. Tylko robotnikiem w nich był miejscowy Polak. **Pogłębieniu uległ na skutek tego proces, który dokonywał się tu od kilku już wieków. Proces, który na Górnym Śląsku doprowadził do powstania dwu zasadniczych grup ludności. Z jednej strony była to miejscowa, polska ludność, trudniąca się głównie rolnictwem, gdzieniegdzie rzemiosłem, pracująca w przemyśle Górnego Śląska. Z drugiej zaś napływowy, w głównej mierze element niemiecki: ziemscy panowie, przemysłowcy, urzędnicy, nauczyciele, duchowieństwo.**



Część rynku w Zielonej Górze, mieście powiatowym u północnej granicy Dolnego Śląska. Polska nazwa Zielonej Góry, kwestionowana niejednokrotnie przez Niemców, jest bezsporną w świetle dokumentów historycznych, gdyż spotykamy ją jeszcze na dokumencie króla Władysława IV, z dnia 15 maja 1641 r. w sprawie ochrony kupców „zielonogórskich", handlujących na terenie Polski.

Narastający wał krzywdy

Dzieliła te dwie grupy ludności różnica stanowiska społeczn., zarówno funkcji gospod., jak i język, przynależność narodowa. Polscy chłopi jako poddani pracują na ziemi, będącej własnością niemieckich panów, na rzecz których zobowiązani byli do szeregu świadczeń i ciężarów. Polscy robotnicy pracują w kopalniach i hutach, będących własnością niemieckiego głównie kapitału, pod kierownictwem niemieckich dyrektorów i inżynierów, pod nadzorem niemieckich majstrów. Od nich zależy rodzaj i ilość pracy, wynagrodzenie, samo przyjęcie do pracy polskiego robotnika.

Czy istniała możliwość wydostania się z tej polskiej, gospodarczo wyzyskiwanej, społecznie najniższej, warstwy ludności i przejścia do tej wyższej, niemieckiej? Owszem, istniała. **Za przejście to trzeba było jednak zapłacić wyrzeczeniem się swej mowy i tradycji, wyrzeczeniem się swoich. Ułatwiały, umożliwiały to przejście niemieckie szkoły powszechne, średnie i wyższe, które polską młodzież przerabiały w ciągu studiów na niemiecką inteligencję. Miejscowa polska ludność w małej jednak tylko mierze z możliwości tej korzystała. W ogromnej swej większości trzymała się swego zawodu, dziedziczonego z ojca na syna, trzymając się kurczowo, instynktownie swej mowy, tradycji, rodzinnego domu. Ci zaś, którzy za cenę wyrzeczenia się polskiego języka wydostawali się z tych nizin społecznych, aby zdobyć dla siebie lepsze warunki bytu i przechodzili do grupy niemieckiej, nie stanowili bynajmniej pomostu pomiędzy jedną i drugą grupą. Stając się częścią niemieckiego społeczeństwa zrywali zdecydowanie ze swymi polskimi rodzicami, krewnymi, rodakami. Toteż istniejący dotychczas zasadniczy podział i stosunek obu tych grup do siebie nie ulegał na skutek tego żadnej zmianie.**

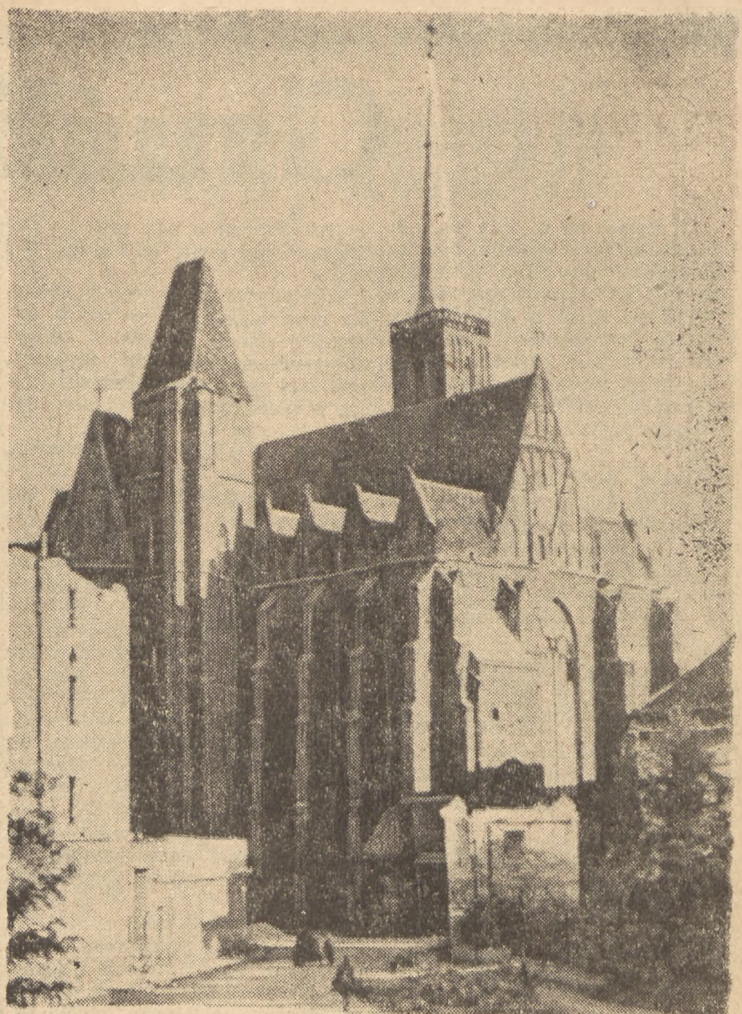
Na straży tego podziału stała z jednej strony pogarda niemieckich panów wobec pracującego na ich utrzymanie ludu, mówiącego jakimś niezrozumiałym, wyśmiewanym językiem, a z drugiej strony zazdrość i wzbierająca coraz mocniej nienawiść wykorzystywanej polskiej ludności przeciw niemieckim krzywdzicielom.

Stan ten, nie dostrzegany a nawet nie przeczuwany przez niemieckich władców kraju, został nagle oświetlony jakby błyskawicą „wiosny ludów", roku 1848. **Oto płonąć poczęły na Górnym Śląsku dwory niemieckich panów, i wielu z nich ze strachu przed swymi poddanymi musiało zrzec się wszelkich z ich strony świadczeń, obiecując naprawienie wyrządzanych od wieków krzywd. W pierwszych wolnych wyborach do parlamentu w Berlinie ludność śląska wybrała posłami przeważnie swoich: polskich chłopów, aby przeprowadzili jej żądania.** Oto, czego żądano: zniesienia pańszczyzny, oddania chłopom ziemi, zapewnienia górnikom zaopatrzenia inwalidzkiego i sierocego, a następnie urzędników władających polskim językiem i polskich szkół!!

Początek odrodzenia narodowego

Ścisły związek żądań natury społeczno-gospodarczej z językowym, będący wynikiem specjalnej struktury Śląska, ujawniony z taką wyrazistością w okresie „wiosny ludów", nadaje też ton procesowi, który nazywamy odrodzeniem narodowym Górnego Śląska. **Proces ten był walką śląskiej ludności tak o wyzwolenie, podniesienie gospodarczo-społeczne jak i o uznanie jej narodowej, odrębności, przyznanie jej należnych praw, a wreszcie o utorowanie drogi do wolnej Polski.** Jak z jednej strony Niemcy z całą bezwzględnością wykorzystywali swą przewagę gospodarczą dla walki z polskim charakterem kraju (np. zwalnianie z pracy robotników za udział w polskich organizacjach czy prenumerowanie polskich gazet), tak z drugiej strony każde osiągnięcie polskiej ludności w dziedzinie społeczno-gospodarczej (np. założenie organizacji zawodowej) wzmacniało front walki o prawa narodowe, tak każda nowa organizacja kulturalna, nowa polska gazeta, stawała się równocześnie narzędziem walki o poprawę położenia gospodarczego i społecznego śląskiej ludności. Ten cel realizowała każda organizacja, o to wołała coraz liczniejsza polska prasa, o tym myślano domagając się polskiej szkoły. W walce tej wyrabiała się i pogłębiała zarów-

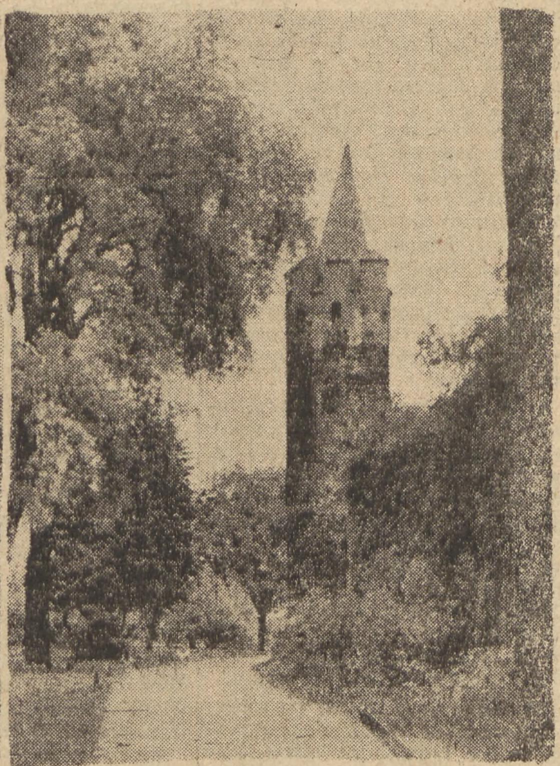
(Ciąg dalszy na str. 3)



Kościół św. Krzyża we Wrocławiu, ufundowany przez Henryka IV. Tam też znajdował się jego grobowiec, który w czasie ostatniego etapu wojny został przez Niemców wywieziony i ukryty wraz z grobowcem Henryka II z kościoła św. Wincentego. Dopiero po roku odnaleziono je niespodziewanie w Wierzbnie, starym klasztorze Cystersów, o 10 km od Wrocławia. Grobowce te należą do najcenniejszych pomników polskości Dolnego Śląska. Kościół św. Krzyża, zbudowany przez budowniczego Wildanusa (najprawdopodobniej identyczny z Wildanem z Krakowa) ma w sobie dużo cech polskiego gotyku, jak potrójne sklepienie krakowskie, płaskie profile filarów, fryz po stronie zewnętrznej kościoła itd.

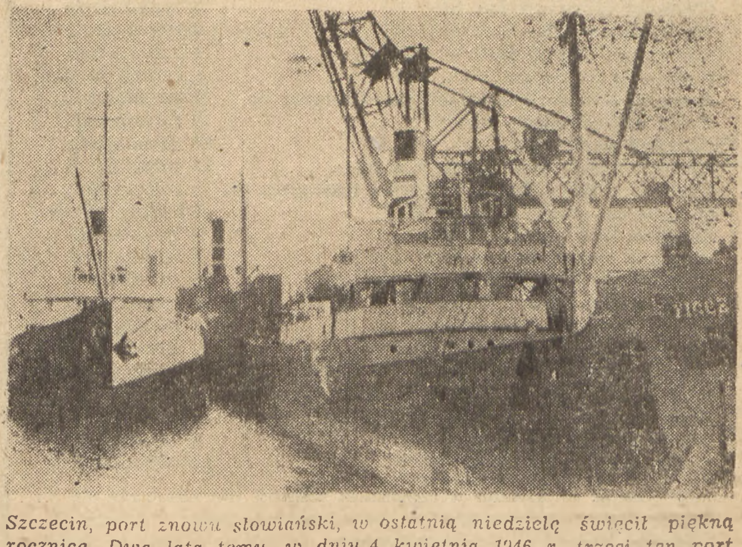


Otmuchów. Ratusz z charakterystyczną figurą na pierwszym planie. Otmuchów był od dawna znaną osadą, w bulli papieskiej z 1155 r. wymienioną jako „Otemochow" — gród kasztelański za Bolesława Krzywoustego



Paczków — fragment starych murów obronnych. Pamiętają one czasy księcia świdnicko-jaworskiego, Bolka I, który m. in. odnowił obmurował i unowocześnił tę warownię-zamek.

Wszystkie zdjęcia H. Makarewiczowa, Katowice



Szczecin, port znowu słowiański, w ostatnią niedzielę święcił piękną rocznicę. Dwa lata temu, w dniu 4 kwietnia 1946 r. trzeci ten port polski nad Bałtykiem podjął pracę w służbie morskiej Rzeczypospolitej. W ciągu tych dwóch lat odwiedziło Szczecin 1759 statków morskich i 960 tysięcy ton węgla wywieźliśmy z niego w świat.

Na froncie walki z klęską społeczną

Gruźlica zbiera obfite plony

W dniach od 4 — 11 bm. odbył się na terenie województwa śląsko-dąbrowskiego „Tydzień zbiórki na budowę sanatorium PCK dla dzieci w Rabce". Jak paląca jest sprawa budowy sanatorium dla śląskich dzieci, najlepiej zobrazuje to artykuł o gruźlicy dziecięcej, pióra wybitnego fachowca w tej dziedzinie.

Gruźlica jest chorobą wieku dziecięcego. To, co widzimy u dorosłych, jest w olbrzymiej większości przypadków dalszą konsekwencją nabytych w wieku dziecięcym właściwości. Jest to choroba zakaźna, wywołana przez tzw. prątek Kocha.

Dziecko, przychodzące na świat, nie bywa zakażone gruźlicą i noworodek nawet ciężko chorej na gruźlicę matki, powinien być praktycznie uważany za istotę nie zakażoną, a zatem taką, którą można jeszcze uchronić od zakażenia.

Najczęstszymi wrotami dla wniknięcia do ustroju prątka gruźliczego są drogi oddechowe. Inne wrota przenikania zarazka (drogą przewodu pokarmowego oraz poprzez skórę) w procesie zakażania odgrywają mniejszą rolę.

Próby rozpoznawcze

Los zakażonego zależy w pierwszym rzędzie od wieku. Krzywa śmiertelności z powodu gruźlicy w poszczególnych grupach wieku wskazuje na konieczność jak najwcześniejszego rozpoznania zakażenia gruźliczego u dziecka.

Poza obserwacją ściśle kliniczną szczególną usługę oddają nam biologiczne próby rozpoznawania zakażenia gruźliczego. Taką łatwą próbą są tzw. odczyny tuberkulinowe, które występują w wypadku zakażenia nawet już wówczas, gdy brak jest wszelkich innych objawów klinicznych, a nawet prześwietlenie promieniami Roentgena, nie wykazuje jeszcze żadnych zmian swoistych.

Badania, dokonywane na milionach dzieci wykazały, że procent osobników zakażonych gruźlicą. wzrasta wraz z wiekiem. Dane opracowane przez lekarzy **Hamburgera i Monti** na materiale dziecięcym Wiednia, wykazują szybki wzrost z wiekiem dodatnich odczynów tuberkulinowych. Wykazały one, że odczyn tuberkulinowy, wykonany sposobem Pirquet'a wypada dodatnio: w pierwszym roku życia w jednym procencie badanych dzieci, w drugim roku w 9 proc., w trzecim i czwartym — w 27 proc.

Nasze własne badania, przeprowadzone w r. 1945 i 1946 u dzieci w przedszkolach i szkołach powszechnych Sosnowca (poddano próbom tuberkulinizacji metodą Pirquet'a 6.763 dzieci) wykazały dodatni odczyn Pirquet'a w/g klas (a tym samym i wieku): w przedszkolach u 27.1 proc. dzieci, u dzieci pierwszych klas szkół powszechnych w 34,7 proc., a następnie: 40,4 proc., 45,1 proc., 46,2 proc.

Widzimy tu odwrotny stosunek do umieralności: **z wiekiem następuje wzrost dodatnich odczynów tuberkulinowych, umieralność zaś na gruźlicę jest najwyższą w pierwszych miesiącach i latach dziecka.**

Dzięki p r a c o m Czerwonego Krzyża (Misji Duńskiego C. K. i Oddziału Sosnowieckiego P. C. K.) mamy bardzo ścisłe dane, obrazujące wzrost dodatnich odczynów tuberkulinowych z wiekiem osób badanych. Badanie opiera się na materiale 31.718 osób (próba metodą Mantoux, przy ujemnym wyniku pierwszorazowym powtórzeniu przy użyciu odczynnika o większym stężeniu) i wykazuje, że **w szkołach powszechnych wraz z przedszkolami na próby tuberkulinowe reagowało dodatnio prawie 60 proc. dzieci;**

w szkołach średnich 81,5 proc.
w szkołach zawodow. 86,4 proc.
wśród osób zatrudnionych w mniejszych zakładach pracy 98,23 proc.;
w hutach 99,27 proc.;
w kopalniach 99,22 proc.

Dane te pokrywają się z badaniami, przeprowadzonymi przez dr. **Marfana** w Paryżu, które wykazują u dorosłych dodatni odczyn tuberkulinowy u 97 proc. osób dorosłych.

Wnioski płynące z doświadczeń

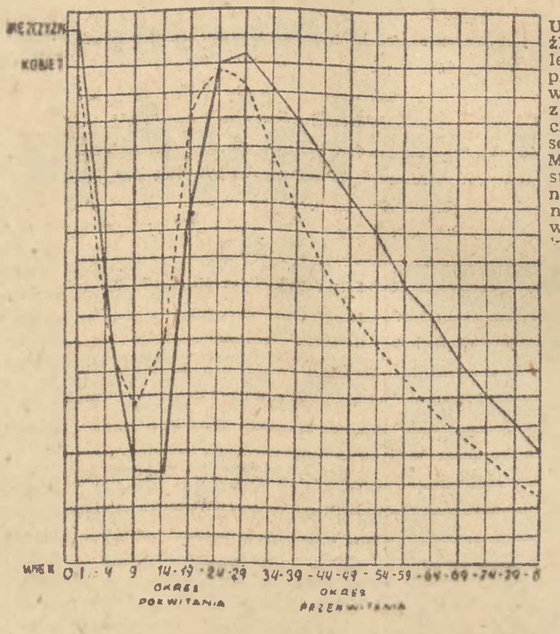
Wyniki badań, w oparciu na odczynach tuberkulinowych, w zależności od wieku, pozwoliły wyciągnąć wnioski dla Śląska. Badania te mają znaczenie dla ludności do 25 lat życia, gdyż powyżej tego wieku ujemne odczyny tuberkulinowe spotykają się niezmiernie rzadko.

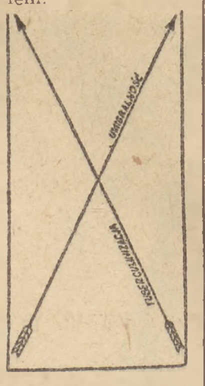
Analiza dokładna stanu podanego pozwala stwierdzić, że:

1) **wiekiem o największej umieralności dzieci z powodu gruźlicy jest okres wczesnego dzieciństwa, oraz lata okresu dojrzewania płciowego;**
2) **zakażenie jest tym groźniejsze im młodsze jest niemowlę zakażone;**
3) **z wiekiem wzmaga się zdolność ustroju opanowania zakażenia i utrzymania się przy życiu.**

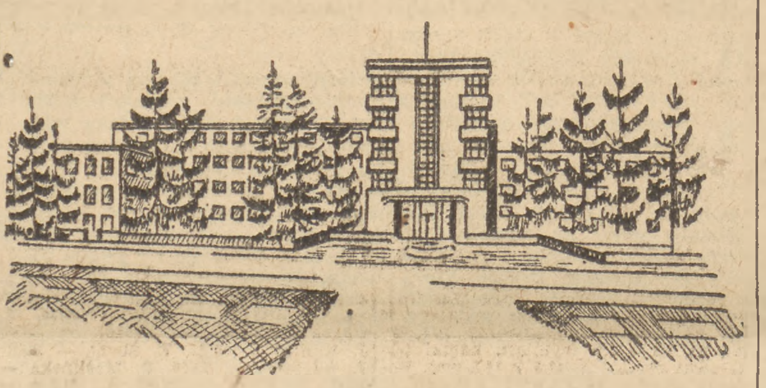
Współczesne poglądy naukowe, w oparciu na doświadczeniach, zdobytych w akcji walki z gruźlicą, pozwalają wyciągnąć następujące wnioski:

1) **kamieniem węgielnym w walce z gruźlicą jest bezsprzecznie poradnia przeciwgruźlicza, której działalność opierać się musi na ścisłej współpracy z zakładami leczniczymi i zapobiegawczymi;**
2) **akcja przeciwgruźlicza musi obejmować całokształt zwalczania gruźlicy. Zagadnienie walki z gruźlicą wieku dziecięcego jest ściśle związane z zagadnieniem zwalczania gruźlicy wśród dorosłych,** jest tylko integralną częścią ogólnej akcji przeciwgruźliczej;
3) **ochrona dziecka przed gruźlicą w akcji tej musi zająć czołowe stanowisko, jeśli się zważy, że znaczna większość przypadków gruźlicy dorosłych jest odnowieniem się zakażenia, które nastąpiło w dzieciństwie.**





Umieralność na gruźlicę w Polsce, w zależności od wieku i płci (schematycznie wg. dr Siedleckiego z Polsk. Zw. Przeciwgruźliczego oraz schemat prof. dra Michałowicza, przedstawiający wzrastanie dodatnich odczynów tuberkulinowych wraz z wiekiem.



W nowym sanatorium Polskiego Czerwonego Krzyża w Rabce sztab lekarzy, nowoczesne metody lecznicze i cudowne powietrze tej okolicy zabezpieczać będą śląskie dzieci przed najgroźniejszą chorobą społeczną, jaką jest gruźlica

Środki walki

Podane wyżej przesłanki muszą być wzięte pod uwagę przy mobilizowaniu akcji walki, przy tworzeniu „arsenału do walki z gruźlicą".

Liczba Poradni Przeciwgruźliczych na terenie Śląska jest dość duża — istnieje jedynie potrzeba podniesienia poziomu ich pracy — czemu w głównej mierze stoi na przeszkodzie brak personelu.

O wiele poważniej pod tym względem przedstawia się sprawa z zakładami leczniczymi. **Jeśli liczbę łóżek szpitalnych dla chorych na gruźlicę uznajemy za niedostateczną, to z drugiej strony istnieje taki paradoks, że oddział gruźlicy płuc w Sosnowcu jest w połowie niewykorzystany z braku sił lekarskich.** Cały jeden pawilon gruźliczy stoi pusty, gdy wielka liczba chorych oczekuje na przyjęcie do szpitali. Dodać tu należy, że szpital ten ma swoją tradycję i jest kierowany przez jednego z najwybitniejszych pod względem wiedzy lekarskiej fachowca, lekarza.

Poważnym brakiem w „arsenale" zakładów leczniczych jest brak zakładu leczniczego dla dzieci. — Przebieg pierwotnej gruźlicy, szczególnie we wczesnym dzieciństwie, nasuwa bardzo często całą masę trudności rozpoznawczych i tylko odpowiedni zakład leczniczy mógłby sprawę rozwiązać.

Rzeczywiste potrzeby

Przyjęte normy dla gruźlicy przewidują potrzebę 3—6 łóżek szpitalnych dla dzieci na 100.000 ludności oraz 20 łóżek sanatoryjnych. **Tymczasem brak łóżek sanatoryjnych wytworzył taką sytuację, że na umieszczenie chorego dziecka do sanatorium oczekiwać należy kilka miesięcy.**

Jakie są pod tym względem rzeczywiste potrzeby, wywnioskować możemy z następujących danych: badania, oparte na typowym materiale szpitalnym i ambulatoryjnym szpitala Harriet Lane Home w Ameryce wykazują, że dzieci z czynną gruźlicą w wieku 0—1 lat, zanotowano 1,6 proc. i do 1—2 lat 5,3 proc., 2—6 lat — 4,1 proc.

Ścisłe dane z terenu Śląska (przebadano 8.022 dzieci w wieku od 5—15 lat) przeprowadzone w Sosnowcu, w latach 1945-46 wykazały, że ślady po przebytej sprawie gruźliczej w postaci zwapnienia w płucach i we wnękach wraz ze śladami po przebytym zapaleniu opłucnej stwierdzono u 9,1 proc., a bezwzględnie czynną gruźlicę typu dziecięcego wykryto u 1,7 proc.

U 25 proc. dzieci z różnymi zmianami w płucach można było wykazać w wywiadach styczność z chorym gruźliczym, najczęściej w rodzinie — rzadziej w sąsiedztwie.

Cyfry te dotyczą przeciętnego ośrodka uprzemysłowionego, liczącego 80.000 ludności. Nie dziw tedy, że przez długie miesiące wyczekiwać musi chore dziecko na umieszcze go w sanatorium.

Jeśli do tego dodamy, że w naszym „arsenale" brak jest łóżek dla dzieci poniżej 3-ch lat (sanatoria przyjmują dzieci dopiero od ukończonego 3 roku życia) — potrzeba powiększenia łóżek w sanatoriach staje się oczywistą.

Akcja zapobiegawcza

Dane sosnowieckie (9,1 proc. dzieci ze śladami po przebytej sprawie gruźliczej i 25 procent wśród tych dzieci ze stycznością) wskazują również na nasze potrzeby w zakresie akcji zapobiegawczej.

„Arsenałem" w zakresie akcji zapobiegawczej będą: **rozdawnictwo i pijalnie tranu — łatwe do zorganizowania w szkołach; masowe dożywianie dzieci; kolonie letnie zarówno wypoczynkowe (najwyżej w okresie 4 tygodni) kolonie lecznicze, których prowadzenie oparte winno być na wzorach stosowanych w prewentoriach stałych; sanatoria dzienne oraz sanatoria nocne i prewentoria z całodziennym pobytem w nich dzieci.**

Nie można pominąć poważnego dorobku, jaki częściowo osiągnęliśmy w akcji walki z gruźlicą w postaci szczepień przeciwgruźliczych. Dzięki akcji Duńskiego Czerwonego Krzyża mamy już zaszczepionych szczepionką Calmet'a (przeważnie dzieci i młodzież) w Zagłębiu Dąbrowskim — 18.069 osób, Katowicach — 5.188, Chorzowie i okolicy, Siemianowicach i Michałkowicach przypuszczalnie około 10.000.

Akcja szczepień musi być kontynuowana. Tam, gdzie zakończyli pracę Duńczycy — wkroczyć muszą dla kontynuowania akcji nasze własne zespoły, gdyż akcja ta jest najtańszą akcją w walce z gruźlicą.



Dziecko co 39,4 sekundy

Pod tytułem „Co 39,4 sekundy rodzi się na świecie dziecko" międzynarodowe biuro statystyczne opublikowało ciekawe dane, które zainteresują na pewno szeroki ogół. Oto, co mówią obliczenia w skali ogólnoświatowej:

Przeciętna ilość dzieci na rodzinę	1,875
Przeciętna długość życia osobnika płci męsk.	**58,7 lat**
Przeciętna długość życia osobnika płci żeńsk.	**62,88 lat**
Stosunek ilościowy chłopców do dziewcząt	**105—100**
Przeciętna waga noworodka	6 funtów
Przeciętna wielkość noworodka	22 cali
Koszta związane z zameldow. noworodka	1/2—3 fr. szwajc.
Serce noworodka bije	140 razy na min.
Przeciętne dziecko:	
Płacze w ciągu dnia przez	113 minut
Grymasi pierwszy raz po	4 tygodniach
Wymawia a— a— po	6 tygodniach
Śmieje się głośno po	4 miesiącach
Podnosi główkę po	4 tygodniach
Zaczyna władać mięśniami piersiowymi po	2 miesiącach
Siada samodzielnie po	6 miesiącach
Zaczyna pełzać po	10 miesiącach
Zaczyna chodzić samodzielnie po	15 miesiącach
Reakcja oczu na kształt i barwę następuje po	3 miesiącach
Opanowuje ruchy ramion po	3,5 miesiącach
Zaczyna być hałaśliwe po	4 miesiącach
Wyciąga rączki do przedmiotów po	6 miesiącach
Chwyta ołówek, poczyna kreślić po	18 miesiącach
Wymawia pierwsze słowo po	10 miesiącach
Mówi „swoistym żargonem" po	18 miesiącach
Odpowiada na proste pytania po	3 latach
Dostaje pierwsze zęby po	7 miesiącach
Rozpoznaje butelkę z pokarmem po	4 miesiącach
Bierze pokarm samodzielnie rączkami po	12 miesiącach
Włada dobrze łyżeczką po	3 latach
Naśladuje starszych po	18 miesiącach

Cyfry te na pewno w niejednej pozycji nie zgadzają się z obserwacjami, poczynionymi przez nas, na naszych dzieciach. Ciekawe jednak będzie zestawienie w jakim stosunku procentowym dzieci nasze pozostają do „przeciętnej międzynarodowej". (cz.)

Wspomnienia o Marii Rodziewiczównie

W ostatnim numerze „Słowa Powszechnego" Stanisław Podlewski zamieścił c i e k a w e a szerokiemu ogółowi mało znane szczegóły z ostatniego okresu życia Marii Rodziewiczówny, które niewątpliwie wzbudzą ogólne zainteresowanie

Trzeba sobie otwarcie powiedzieć, że niewiele wiemy o ostatnich latach życia wielu naszych wybitnych powieściopisarzy, poetów, krytyków i artystów malarzy. Przypadły one na długi okres upiornej niemieckiej okupacji i tragicznych dni Powstania Warszawskiego. Dopiero teraz ukazują się opowiadania, relacje i wspomnienia o wielu wybitnych ludziach naszego pokolenia.

Na początku ubiegłego roku „Księgarnia Katolicka" w Częstochowie wydała niepokaźną książeczkę Józefa Puzyny pt. „Moje wspomnienia o Rodziewiczównie".

Autor tych wspomnień, z zawodu historyk, należał do entuzjastów talentu autorki „Dewajtis", pochodził z jej stron i miał okazję poznać Rodziewiczównę już w 1920 roku.

„Jechaliśmy w tym samym wagonie — wspomina — pokazano mi ją, kiedy przechodziła korytarzem wagonu. Miała wtedy około 60 lat, ale wyglądała młodo, ubrana z męska, w ruchach bardzo niekobieca, robiła raczej wrażenie księdza, niż niewiasty."

Dopiero w dwadzieścia lat później, w roku 1941, szczęśliwy wypadek zetknął go z Rodziewiczówną. Uderzyły go ogromne zmiany w jej wyglądzie, niesłychane zdrobnienie postaci. Była to już staruszka zgarbiona, z trudem się poruszająca.

Bujne bielusieńskie włosy okalały twarz jeszcze pełną życia o orlim nosie i rozumnych ciemnych oczach. Twarz ta miała w sobie coś z lwa, nie sprawiała wrażenia starości."

Choć znajomość autora z Rodziewiczówną trwała zaledwie trzy lata, jednak zdołał poznać dokładnie jej prawy i mocny charakter, pogodne usposobienie, jej prostotę i szczerość w życiu, bez cienia megalomanii, pozy, czy zarozumiałości.

Autor znał również Elizę Orzeszkową. Paralela jej z Rodziewiczówną wypadła na niekorzyść autorki „Nad Niemnem".

Ale nas chyba najbardziej będą interesować ostatnie lata i dni autorki „Byli i będą".

Najazd niemiecki na Polskę we wrześniu 1939 roku zastał Rodziewiczównę w majątku rodzinnym Hruszowa na Polesiu. Myślała, że jej kresowy dworek ominie burza dziejowa. Lecz już w połowie września zaczęły grasować faszystowskie bandy ukraińskich rezunów, mordowały Polaków, rabowały doszczętnie dwory, gminy i urzędy Rzplitej puszczały z dymem. Nikt nie był pewny życia. Rodziewiczówna schroniła się do Kobrynia, jednak małe miasteczko nie zapewniało jej bezpieczeństwa, więc udała się do Brześcia. Zamieszkała tutaj pod obcym nazwiskiem, brzmiącym z niemiecka, Anny Szuch czy Szulc, swojej gospodyni.

Lecz i tutaj nie mogła przebywać dłużej. Stary przewoźnik przeprawia ją łódką przez Bug, na teren okupacji niemieckiej. Wpada w ręce posterunków granicznych i zostaje przewieziona do obozu koncentracyjnego pod Łodzią. Przebywa w nim kilka tygodni.

Wraz z panną Jadwigą Skirmuntt, swoją krewną, udaje się jej wyrwać zza kolczastych drutów i przyjeżdża do Warszawy.

W zniszczonej stolicy na szczęście udaje się jej wynaleźć zupełnie dobre i wygodne mieszkanie przy zbiegu ul. Królewskiej i Marszałkowskiej, w domu Blocha.

Niemal osiemdziesięcioletnia staruszeczka może dopiero teraz odetchnąć i wypocząć, wystarczy wspomnieć, że po opuszczeniu swojego majątku zmieniała siedemnaście razy miejsce pobytu.

Odtąd Rodziewiczówna przeżywa wszystkie troski, niepokoje i wstrząsy mieszkańców stolicy.

Opuszczała swój majątek bez większych zasobów materialnych, jednak znalazły się osoby, które zapewniły jej zupełnie dobre utrzymanie i dostatek, że mogła się nawet dzielić z ludźmi potrzebującymi.

Wszędzie spotykała się z objawami życzliwości, pomocy i uznania. Coraz dochodziły ją wiadomości, że w bibliotekach i czytelniach książki jej cieszą się ogromnym powodzeniem, a reszty nakładów w księgarniach zostały szybko rozsprzedane.

— Widocznie jestem im potrzebna — zauważyła w czasie rozmowy.

Nie mogło to ujść uwagi Propagandaamtu i na wiosnę 1943 roku wyszedł nakaz usunięcia z wszystkich czytelni, bibliotek i sprzedaży jej powieści „Lato leśnych ludzi".

Ciekawe są motywy tej konfiskaty. W owej powieści nie było mowy o Niemcach. Najwidoczniej cenzorzy dopatrzyli się wyraźnych aluzji do współczesnych Niemiec w charakterystyce puchaczy, jako rabusiów, którym autorka przepowiadała nieuchronną zagładę.

W rezultacie konfiskata tej książki wzmogła ogromnie poczytność jej książek. Stały się poszukiwane.

Coraz częściej zaczął odwiedzać autorkę jej wydawca, znany księgarz Wegner z Poznania, przebywający na uchodźstwie w stolicy. Miał on zamiar zawrzeć z Rodziewiczówną umowę na kompletne wydanie jej dzieł tuż po wojnie.

Wpłacał jej nawet pokaźne sumy. Czcigodna autorka mogła być z tego słusznie dumna i zadowolona; nie wiele było wypadków, aby autorzy w czasie okupacji utrzymywali się z honorariów za książki, które już były wydane.

Nadchodzące wypadki napełniały Rodziewiczównę niepokojem, spędzały sen z powiek.

Należała do konspiracji. Autor tych wspomnień przypuszcza, że musiała grać rolę łącznika. „Jej mieszkanie, położone na uboczu, trudno dostępne, a w nim zwiędła staruszka, nadawało się do tego".

Kiedyś w rozmowie wspomniała Rodziewiczówna, że w organizacji ma stopień porucznika.

Sam wybuch powstania zaskoczył ją. Od pierwszego dnia ulica Królewska znalazła się w linii frontu. Niemcy, usadowieni w ogrodzie i w rejonie pałacu Bruhla, trzymali pod ogniem wszystkie domy, z których powstańcy czynili wypady.

Rodziewiczówna przenosi się na parter, do gmachu szpitala ewangelickiego. W najbliższą noc przeprowadzają ją do pałacyku ks. Adamowej Czartoryskiej, na Placu Dąbrowskiego.

Po upadku Powstania Rodziewiczówna, ciężko chora, nie mogąca poruszać się o własnych siłach, zostaje wyniesiona przez uchodźców.

Zatrzymuje się w Milanówku u swoich znajomych, potem przewożą ją do Żelaznej, majątku Aleksandra Mazarskiego. Dwór był już przepełniony uchodźcami po brzegi, więc dla Rodziewiczówny wynaleziono pokój w leśniczówce, dotąd nieopalany i tutaj zapewne przeziębiła się. Dostała zapalenia płuc i po czterech dniach zmarła, w dniu 6 listopada 1944 roku.

Tłumy uchodźców i mieszkańców odprowadzały ją na miejsce wiecznego spoczynku.

Wspomnienia Józefa Puzyny mają charakter dokumentarny, rzucają pełne światło na ostatnie lata i chwile życia Rodziewiczówny, na jej twórczość, zbliżają ją do nas, pisane są żywo, z wnikliwością psychologiczną i ze zrozumieniem.

Zapalniczka

S. KORA

NOWELA

Zaczęło się od błahostki, ale — jak wiadomo — przyczyną największych nieszczęść są bodaj najmniejsze głupstwa. Głupstwo takie i tym razem było powodem niezgody, a nawet wręcz nienawiści dwóch nierozłączalnych dotąd przyjaciół — Feliksa Mitery i Jana Sojki. Łączył ich wspólny pluton, jeden zaszczytny stopień szeregowca, wspólne przeżycia frontowe, rozpoczęte daleko na Wschodzie, a nawet i wspólna bezczynność (w przerwach między jednym a drugim zadaniem bojowym).

Było to w chłodną niedzielę listopadową, cichą, aż za cichą dla przywykłego do ciągłego huku, żołnierskiego ucha. Podczas obiadu Mitera odezwał się niespodzianie:

— Założę się, że jutro będzie gorąco.

Kolega spojrzał zdziwiony.

— Teraz w listopadzie?

— Jutro coś będzie! — upierał się Mitera.

— Tyś chyba oszalał! Toż na naszym odcinku mamy na razie mało armat. Mają dopiero nawieźć. Nie, jak już się coś zacznie, to najwcześniej w środę.

— Co mi tam armaty! — mruknął pogardliwie Mitera. Ja mam już „dobrego nosa", a to więcej znaczy, niż wszystkie działa.

Nie wiadomo, czy na taką zamianę zgodziłby się którykolwiek generał na świecie. Sojka nie zgodził się w każdym razie.

— Do diabła z twoim nosem! Widziałeś ty, żeby kiedy Murzyn się zaczerwienił?

— Nie... Albo co? —

— Tak samo jutro nie zobaczysz żadnego ataku.

— Wszystko jedno. — Murzyn nie Murzyn. — Atak jutro!

— A ja ci mówię, że w środę!

Stopniowo kurtuazyjna ta rozmowa, natury czysto strategicznej, zeszła na tory zupełnie osobiste. Obaj przyjaciele przewertowali dokładnie po dziesięć swych pokoleń wstecz i tyleż w przód, zmieniając gruntownie wszystkim zawody, ze szczególnym uwzględnieniem matek. Nie wiadomo, jak skończyłby się spór, gdyby Sojkę nie odwołano do dowódcy plutonu. Dotychczasowi przyjaciele rozeszli się z nienawiścią w sercach i pragnieniem zemsty, używając przy rozstaniu miotaczy przekleństw największego kalibru.

* * *

Tymczasem dowództwo odcinka, lekceważąc zupełnie uzdolnienia wojenne swych dwóch podwładnych, postanowiło rozpocząć atak w sobotę o świcie. Całą noc grzmiały donośnie działa, niszcząc umocnione pozycje Niemców i przygotowując grunt dla działania piechoty i czołgów. Rankiem zaczęło się...

Poderwany z pozycji pluton Mitery i Sojki ruszył naprzód. Feliks z cichym zadowoleniem dostrzegł bladość, jaka powlokła twarz biegnącego obok Sojki.

— Pietra ma łobuz! — mruknął złośliwie, Nie dostrzegł jednak złego błysku jego oczu i silnie zaciśniętych ust, które to objawy psychologowie zwykli nazywać nie tchórzostwem, lecz determinacją. Ale Mitera nie uczył się nigdy psychologii.

Niemcy również nie próżnowali. Ich działa kładły piekielnie trudny do przebrnięcia mur ognia zaporowego i żołnierze często, bardzo często wbijali nosy w ziemię, zapoznając się z jej zapachem. Niejednemu zapach ten tak przypadł do gustu, że nie mógł się od ziemi oderwać i tak już pozostał.

Jazgot wrogich karabinów maszynowych, też w niczym nie przypominał muzyki z płyt i bynajmniej nie usposabiał wesoło. Reszty dopełniały samoloty. Walka toczyła się zaciekle na ziemi i w powietrzu i dopiero późnym wieczorem w kierunku wschodnim pomaszerowały szeregi jeńców niemieckich, a w okopach rozbrzmiała mowa polska i rosyjska.

Mitera, ledwie zipiąc ze zmęczenia, odpoczywał na pniu ściętego przez pocisk drzewa. W pewnej chwili odczuł, że brakuje mu czegoś. Czego? — Nie mógł sobie na razie uzmysłowić. Wreszcie... A gdzie Sojka? Przecież widział go na chwilę przed zdobyciem okopów. W tym momencie nienawiść jego dostała podwójną porcję radości z kuchni polowej diabła.

— Szlag go trafił, łobuza! — mruknął, — zdejmując buty, by zmienić onuce. Wstał, obciągnął płaszcz i zamierzał ruszyć do kolegów, kiedy jakaś niespodziewana myśl powstrzymała go na miejscu.

— Zwymyślał mnie od najgorszych, ale... zawsze to kolega. I jeszcze jaki... — wymamrotał, — drapiąc się za uchem. Pomyślał krótko, po czym ruszył naprzód.

Pokaleczony las pojękiwał szczytami drzew, poza tym cicho było jak na cmentarzu. Z dala tylko dochodził stłumiony gwar nadciągających rezerw. Po długich bezowocnych poszukiwaniach, Mitera zamierzał już wracać, gdy nagle usłyszał przytłumiony (zdawało mu się) jęk:

— No, nareszcie... Matko Boska!

Miterze wydało się nagle, że ktoś silnie chwycił go za gardło. Poznał głos Sojki. Głos ten wnet ucichł. Dopiero po kilku chwilach dostrzegł jaśniejszą nieco od mroku plamę. Podbiegł szybko.

— Stasiu! — wykrzyknął.

Nie było odpowiedzi. Ukląkł przy przyjacielu i począł nim potrząsać.

— Ranny jesteś? — spytał z przejęciem.

— Nie! — brzmiała odpowiedź.

— Pewnie kontuzjowany... — przemknęło mu przez głowę. Chwycił Sojkę za rękę, dźwignął do góry i podparłszy go ramieniem, podążył do oddziału, bełkocząc radośnie.

— Strasznie... wiesz... o ciebie... no rozumiesz... dobrze, że żyjesz. Nic ci nie jest?

— Nie!

Lakonizm odpowiedzi był wprost przerażający, ale Sojka zaczął iść coraz pewniejszym krokiem.

— Pójdziemy zaraz do lekarza — ciągnął Mitera, kiedy dochodzili do okopów.

— Po co? Mnie nic nie jest! — rzekł już przytomnie Sojka.

— I nie jesteś ranny?

— Skąd!

— To dobrze, to dobrze... Ale nie gniewasz się na mnie?

— Za co? Żeś tam trochę obraził matkę? I tak się ucieszy, jak mnie zobaczy, a ja jej nic nie powiem. Grunt, że żyjemy.

W okopie, kiedy Mitera odzyskał spokój, rzekł do przyjaciela.

— Napędziłeś mi strachu. Czemuś się nie odzywał na moje słowa?

Sojka ziewnął przeciągle:

— Bo zdrzemnąłem się. Dobrze żeś nadszedł. Inaczej usnąłbym na dobre. Byłem tak piekielnie zmęczony...

— To po co kładłeś się na ziemi, kiedy mogłeś spać w okopach?

— Zapalniczka wypadła mi z kieszeni i poszedłem jej szukać w to miejsce, gdzie się przewróciłem podczas szturmu, a wiesz dobrze, że nie wolno świecić.

— A dlaczego tak ciężko westchnąłeś? — pytał ciągle Mitera — że słychać cię było na kilometr?

Sojka roześmiał się radośnie:

— Bo znalazłem ją wreszcie!...

Mechaniczny pies

Jean Venvre, inspektor biura policyjnego w Vancouver, dokonał niezwykle ciekawego wynalazku, który niewątpliwie odda wielkie usługi policji kryminalnej. Jest to przyrząd, przeznaczony do notowania i odnajdywania śladów zbiegłych przestępców. Wynalazca pracował nad nim usilnie 8 lat.

Budowa tego przyrządu polega przede wszystkim na tym, że reaguje on na wszelkiego rodzaju, nawet najdelikatniejsze wonie, przez co doskonale zastępuje silny węch psów policyjnych. Sztuczny węch objawia się dzięki szeregowi chemikaliów, wypełniających przyrząd, które różnie reagują przy zetknięciu się ze śladami stóp ludzkich. Przyrząd zaopatrzony jest również w spektroskop, który chwyta na kliszy widmo tropionych śladów.

Niedawno odbył się pokaz „psa mechanicznego" przy pracy. Użyto go w 45 wypadkach i ani razu nie zdarzyło się mylne rozpoznanie śladów uciekającego.

„Mechaniczny pies", spełniający tak wzorowo powierzone mu ważne zadania, może odegrać podobną rolę w kryminalistyce, jak w swoim czasie daktyloskopia.

Spełniony proces wieków

(Dokończenie ze str. 1)

bo świadomość narodowa jak i klasowa zwłaszcza robotniczej części Górnego Śląska.

Gdy po pierwszej wojnie światowej lud śląski trzykrotnie wystąpił do zbrojnej walki, była to walka nie tylko Polaków z Niemcami, ale równocześnie walka uciśnionych dotychczas warstw ludności z tymi, którzy je wyzyskiwali. Śląski robotnik przepędzić chciał ze swych kopalni i fabryk znienawidzonego niemieckiego dyrektora i majstra, śląski chłop swego sąsiada, niemieckiego magnata ziemskiego, wszyscy razem pędzić chcieli precz Niemców, którzy im po polsku w polskiej ziemi żyć nie pozwalali.

Wizja częściowo zrealizowana

Polska, której wierność lud śląski zachował przez całe wieki, ku której szedł i o którą walczył zawzięcie, miała mu zapewnić pełną swobodę narodowego bytu, a równocześnie przynieść wyzwolenie gospodarcze, wydobyć wreszcie ze społecznych nizin. Taka była wizja Polski, jaką sobie w czasie swych przejść i walk, wyhodował polski Śląsk. Wizja ta nie dla wszystkich, i nie w całej pełni została zrealizowana po pierwszej wojnie światowej. Większa część Śląska pozostała nadal poza granicami państwa polskiego, ogromna masa śląskich Polaków pozostała pod niemieckim panowaniem, narażona na coraz brutalniejszy narodowy ucisk.

Ta część, która w roku 1922 połączona została z Polską, przeżywała radość wolnego bytu, realizację swych narodowych tęsknot i dążeń. **Radość nie była jednak pełna. Bo robotnik górnośląski pracował nadal nie dla siebie, ale dla obcego, tego samego co dotychczas, kapitału. Na wielu stanowiskach widział tych samych, co dotychczas, właścicieli, dyrektorów. Równocześnie wytworzony, zwłaszcza w czasach sanacyjnych, układ stosunków politycznych uniemożliwiał dojście do przeświadczenia, że się jest wreszcie gospodarzem u siebie, na Śląsku i w całej Polsce. Widziano i odczuwano na każdym kroku, że ciągle jeszcze istnieją przeszkody, uniemożliwiające a przynajmniej utrudniające miejscowej ludności wydobycie się na wyższe stopnie hierarchii społecznej. Stopniowy postęp w tej dziedzinie, będący w pierwszym rzędzie wynikiem narastania śląskiej inteligencji, nie pozwalał jednak w dostatecznej mierze zmienić tego obrazu. Lud śląski nie czuł się w całej pełni wolnym i równym.**

Ostatnia wojna światowa przywróciła cały Śląsk Polsce, dała wszystkim jego polskim mieszkańcom możność pełnego zaspokojenia swych narodowych aspiracji. **Równocześnie zaś gruntowna przebudowa społeczno-gospodarcza, jaka dokonała się w Polsce Ludowej, pozwoli zrealizować wreszcie i drugie dążenie śląskiej ludności: wyzwolenie społeczno-gospodarcze, pełne równouprawnienie, otwarcie dróg do wszystkiego na równi z wszystkimi!** K. Popiołek

Rozrywki umysłowe

55 Konkurs Rozrywkowy i Autorski

Część I.

W numerze niniejszym rozpoczynamy 55 Konkurs Rozrywkowy i Autorski, który obejmie zadania w kolejnych 7 numerach „Świat i Życie". System nagradzania Czytelników polega na przyznaniu nagród tym 20 Czytelnikom, którzy uzyskają największą ilość punktów.

Dla zachęcenia słabszych i początkujących Czytelników stosować będziemy znowu zaliczenie niewykorzystanych punktów z Konkursu na Konkurs. Nagrody będą dwojakiego rodzaju: 1. Czytelnicy, którzy rozwiążą wszystkie zadania Konkursu otrzymają nagrody za najlepsze wyniki, 2. nagrody za wytrwałość otrzymują Czytelnicy, posiadający w chwili zakończenia Konkursu największą ilość zdobytych punktów. W wypadku nadesłania rozwiązań z trzech kolejnych numerów zdobyte punkty przepadają.

Równocześnie z Konkursem Rozrywkowym prowadzimy nieustający Konkurs Autorski, który polega na nagrodzeniu autorów trzech najlepszych zagadek Konkursu na podstawie głosowania ogólnego Czytelników. Prosimy o nadsyłanie prac. Poza tym dodajemy, że autorom zaliczamy punkty autorskie w Konkursie Rozrykowym, tak jak za rozwiązanie ich zadań.

1. DODAWANKA EPITETYCZNA — 7 pkt.

(uł. WITT)

I. Odnaleźć 11 słów o poniższym znaczeniu: 1. miech (5), 2. wykrzyknik (3) (e = ę), 3. koniec strzały (4), 4. zdrobniałe imię żeńskie (3), 5. jutrzenka u starożytnych Greków (3), 6. mechanizm wykonujący czynności ludzkie (5), 7. rodzaj smoły (3), 8. wielkolud, olbrzym (3), 9. poruszanie się w powietrzu (3), 10. proszek do szorowania (3), 11. rodzaj długonogiego pająka (6).

Pierwsze litery powyższych słów dadzą pierwszą część rozwiązania.

II. Do każdego z odnalezionych słów dodać po jednej literze (w różnych miejscach), by powstało 11 nowych słów. Dodane litery dadzą drugą część rozwiązania.

III. Przymiot każdego z nowopowstałych słów określić za pomocą przymiotnika. Pierwsze litery przymiotników dadzą rozwiązanie ostateczne.

Przykład: papuga = ara + k = arka. III — biblijna.

2. LOGOGRYF SZYFROWANY — 4 pkt.

(uł. S. Ziętek)

RCGAKIPRRANZĘNDCIDĆZZA
DTNŁAOTEĘĘŁAJIWITOYURĘ
EDIEREDWMIJERADŚKESTCO
ZACYNRRCTZTŚZCMEMZSIEŚ
NZŚACRRTNIDFCZRDZARPĄR
ĆIZTCOIPESCADCTIĘNAAPY
OENOYYCUIDZNEEEKPEONII
ŚSIRETADSSKROABJPZBĘWN
ARSAIRWŁIEECDEZBUŚOCKR
MLDNSOTYĆEYROITOZIBĘĆJ
IWFYOCCPIIOAOWIKDEŚNWS
ZLERSAĘRDZEEAANKZIIEML

Powyżej zaszyfrowane są (szyfrem słupkowym) objaśnienia pięcioliterowych słów logogryfu. Czwarte litery po przestawieniu dadzą rozwiązanie.

3. „CZY POTRAFISZ?" — 1 pkt.

Jedną z najsłynniejszych szkół malarzy włoskich jest t. zw. szkoła Florentyńska. Czy potrafisz, Czytelniku luby, podać nazwiska czterech przynajmniej najbardziej znanych artystów tej szkoły?

*

Termin nadsyłania rozwiązań powyższych zadań upływa z dniem 30 IV. 46. Odpowiedzi prosimy przysyłać na kartkach wymiaru kartki pocztowej czyli A 6 (10,5 x 14,8 cm). Podanie słów pomocniczych obowiązuje,

*

DOKOŃCZENIE WYNIKÓW 53 KONKURSU

Lista Czytelników, którym zaliczamy punkty z 53 Konkursu Rozrywkowego. (Cyfra pierwsza oznacza ilość punktów zdobytych w 53 Konkursie, a cyfra druga ogólną ilość punktów zaliczonych).

O. M. — 70/125, U. Mickiewicz — 61/125, D. Niemcowa 65/121, I. Bretsznajder — 61/118, Dyskobol — 71/116, S. Zientek — 52/115, R. Haida — 62/111 R. Folkierski — 55/110, Z. Hryniewiecki — 54/109, LOT 50/108, L. Ratymirski — 65/108, W. Czuba — 44/107, T. Wilczyński — 46/105, T. Eliasiewicz — 61/105, L. Konopiński — 54/99, E. Hellman — 35/99, S. Jarosiński 60/98. KADE — 53/95, E. Haida — 50/92, Z. Mężydło — 48/92, E. Jaszczyszyn — 56/91, J. Matyja — 24/87, S. Niementowski — 47/86, Z. Kochanowski — 53/85, ESSE — 84/84, I. Dembicki — 56/84. A. Pręczkowska — 82/82, W. Jasiński — 97/47, J. Nawroczyński — 46/79, EMKA — 76/76, K. Rudzki — 76/76. S. Psarski — 76/76. Z. Sułowski — 73/73, J. Czaporowska — 73/73, H. Jeżewska — 71/71, S. Cichowski — 71/71, ASTRA — 71/71, W. Nowicki — 70/70, M. Józefowicz — 25/69, L. Twardowski — 69/69, J. Pasamonik — 69/69 H. Cysewski — 68/68, E. Parnicka — 67/67, M. Romer — 38/66, J. Misiewicz — 64/64, H. Braumanowa — 64/64. Z. Łabęcki — 62/62, J. Krzemiński — 61/61, R. Jaszek — 58/58, A. Moskała — 58/58, A. Rafińska — 57/57, M. Sołtykowską — 56/56. M. Pokiziak — 56/56, J. Fedzin — 56/56, J. Turek — 55/55, J. Zimnol — 52/52. B. Denenfeld — 25/52, Joter — 52/52. W. Sarnowicz — 51/51, A. Fic — 50/50, J. Filar — 50/50, J. Kafel — 14/48. J. Rebeś — 45/45, T. Wieczorek — 43/43, T. Łubańska — 40/40. S. Kręcidło — 29/38, M. Oboza — 25/36. E. Oleszek — 32/32, J. Kantor — 29/29, Z. Socha — 28/31, J. Adamiak — 28/28, Z. Maślińska — 28/28, J. Pasek — 27/27. S. Migoń — 25/25, B. Steszyk — 11/22. SOS — 19/19 T. Zawadzki — 11/18, J. Sztumpf — 18/18, P. Ciepałek — 4/15, W. Kłusiewicz — 10/10, Z. Kasprzyk — 10/10, R. Leszczyński 5/5.

Z przykrością stwierdziliśmy, że w ciągu Konkursu wielu z naszych starych przyjaciół odpadło z turnieju. Z powodu nie nadesłania rozwiązań z kolejnych trzech numerów skreśliliśmy punkty 38 Czytelnikom. Mamy nadzieję, że w nowym Konkursie ujrzymy ich znowu.

Odpowiedzi Redakcji

Wszystkim Czytelnikom, którzy nadesłali nam życzenia świąteczne serdecznie dziękujemy i nawzajem życzymy najlepszych wyników w Konkursach Rozrywkowych. **SOS** — krzyżówki nie pójdą, gdyż jedna nie jest symetryczna do osi pionowej, a druga zawiera zbyt wiele słów cudzoziemskich i wspak. **O. M.** — prosimy o nadesłanie rozwiązania logogryfu. **K. Rudzki** — przepraszamy za złą korektę, w spisie opuszczono jedno nazwisko. dlatego wydawało się, że pan miał dostać „Noc Huberta". **L. Konopiński** — książka przepadła na poczcie, wysłaliśmy ponownie, przepraszamy za niezawinioną zwłokę.

Do wszystkich Czytelników — 1. termin nadsyłania rozwiązań z Nr 12 upływa dnia 10 kwietnia. 2. na wielokrotne zapytania o sposobie wypełniania kartek z rozwiązaniami odpowiadamy, że najwygodniej jest dla redakcji, gdy kartka wypełniona jest pionowo, a prawy górny róg pozostaje wolny.

Świat się śmieje...

LOGICZNE

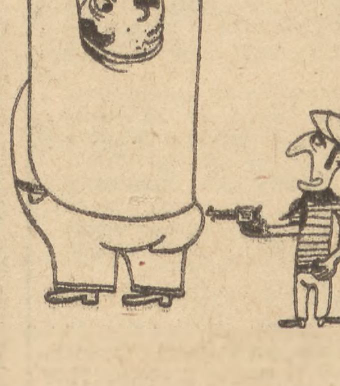


— Dlaczego nie chcesz iść do szkoły?

— Bo przecież, mamusiu, ja nie umiem ani czytać, ani pisać!

(„Ici Paris")

NIEWYKONALNE



— Ani kroku, bo roztrzaskam ci łeb!

(„Bogards")

Doniosły eksperyment zapobiegawczy

Hormony żeńskie

Okres przekwitania jest naturalnym i nieuniknionym zjawiskiem w życiu kobiety. Zaznaczyć tu jednak trzeba od razu, że nic dalej nie odbiega od prawdy, jak przyjęte powszechnie rozumowanie, że okres ten to jednocześnie nieuchronny kres fizycznych i duchowych dyspozycji i szybkie chylenie się ku starości.

Lęk i zmartwienia przyczyniają się do powstawania wielu przykrych stanów podmiotowych kobiety w okresie przekwitu, szczególnie u kobiet z dyspozycją do neurastenii i psychopatii. Wśród objawów tych wyróżniają się przede wszystkim: uderzenia krwi do głowy, pocenie się, połączone z uczuciem zawrotu głowy, bóle głowy, powodujące bezsenność. mroczki przed oczyma, osłabienie, uczucie śmiertelnego lęku i bóle kurczowe w okolicy serca, promieniujące do lewego ramienia, przeczulenie pod postacią drętwienia kończyn, wysokie ciśnienie krwi. Usposobienie dotychczas spokojne zamienia się w nieustępliwe, występuje skłonność do płaczu z najbłachszych powodów. Najgorszym objawem tego okresu to depresja i melancholia, powodujące zupełny brak zainteresowania się zjawiskami życia codziennego.

Przyczyną takiego stanu w okresie przekwitania, to brak w ustroju kobiecym „hormonu żeńskiego", ciałka białkowatego, wytwarzanego przez gruczoły płciowe żeńskie bezpośrednio do krwioobiegu. Hormony żeńskie czynią z kobiety — kobietę.

Rzadko która ze zdobyczy wiedzy medycznej spotkała się z takim życzliwym przyjęciem, jak wykrycie „hormonów żeńskich", regenerujących zdrowie kobiety szczególnie w okresie przekwitu. Obecnie, przy właściwym dawkowaniu tych hormonów można przekształcić burzliwe południe w okres umiarkowanej pogody. Środek ten, stosowany według przepisu lekarza, jest równie bezpieczny, jak i skuteczny w działaniu oraz dostępny dla wszystkich warstw społecznych.

Okres przekwitania przypada normalnie na czas między 45—50 rokiem życia kobiety. Stosowanie „hormonów żeńskich" powinno nastąpić jednak już od 40 roku życia, ubiegając tym występowanie omówionych poprzednio dolegliwości. Jest to jeden z największych eksperymentów zapobiegawczych.

Nie mniej wielkie znaczenie mają „hormony żeńskie" u dziewcząt w okresie pokwitania.

(„De Kruif")

Poradnik kosmetyczny

Wiosenna kuracja

Prawie zawsze na wiosnę zaczynamy czuć się jakoś dziwnie nieswojo, coś nam dolega, choć same nie wiemy, co. Jesteśmy osłabione, łatwo się męczymy, łatwo ulegamy podrażnieniu. Stan ten jest całkiem naturalnym objawem ogólnych przeobrażeń w naturze, wpływających w ten sposób na nasz system nerwowy i cyrkulację krwi.

Zimowa odzież, utrudniająca dostęp powietrza; światła słonecznego, przebywanie przez większą część dni w zamkniętych lokalach, niedostateczne odżywianie i brak witamin są przyczynami, tamującymi normalny rozwój czynności naszego organizmu. Gromadzą się w nim w ciągu zimy produkty przemiany materii, które powodują przedwczesne osłabienie muskułów, a co za tym idzie, uczucie przemęczenia i wyczerpania. Przy prawidłowej przemianie materii produkty te są w naturalny sposób wydzielane z organizmu.

Rozumiemy teraz, dlaczego cera nasza stała się nieczysta, żółtawa, zwiotczała, dlaczego zaczęły się na niej ukazywać plamy i zmarszczki.

Aby cerze przywrócić dawny, świeży wygląd, należy poświęcić jej teraz więcej troski. Doskonałe wyniki daje kuracja, oczyszczająca krew, przeprowadzona wczesną wiosną. Równe ilości ziół: liści orzecha i poziomek, bratki polne, krwawnik, kwiat tarniny, rzeżuchę wodną, oraz kilka ziaren jałowca zalać wrzącą wodą, zagotować i odstawić pod przykryciem na pięć minut do naciągnięcia. Pić filiżankę rano i wieczorem. Herbata ta zawiera w sobie sole mineralne, olejki eteryczne oraz kwasy, mające właściwość wydalania wszelkich szkodliwych produktów, znajdujących się w naszym organizmie. Po przeprowadzeniu takiej ziołowej kuracji następuje odświeżenie całego organizmu, które powoduje, że skóra robi się świeża i czysta oraz nasze samopoczucie znacznie się polepszy.

Z nastaniem ciepłych dni zacznijmy korzystać ze wszystkich darów wiosny. Spanie przy otwartym oknie, jak najczęstsze przebywanie na świeżym powietrzu oraz kąpiele powietrzne wpłyną na nasz stan doskonale. Kilka minut gimnastyki (nago, przy otwartym oknie) również wzmocni nasz system nerwowy i w połączeniu z kąpielami powietrznymi będzie niezawodnym środkiem przeciw bezsenności. Mieszkanie nasze przewietrzajmy kilkakrotnie w ciągu dnia, pamiętajmy też o tym w naszych warsztatach pracy, pełnych dymu z papierosów i ludzkich wyziewów.

Niemniej ważną sprawą jest odżywianie. Właśnie teraz na wiosnę powinno być lekkie, zawierać mało mięsa, które doskonale zastąpić można mlekiem, jajami, serem, masłem oraz w miarę możności jarzynami.

W przejściowym okresie wiosennym skóra nasza jest specjalnie wrażliwa i wymaga troskliwej pielęgnacji. Musi się po prostu przyzwyczaić do cieplejszego klimatu. Gruczoły tłuszczowe pracują w tym okresie leniwiej i musimy same doprowadzić skórze trochę tłuszczu. Przed wyjściem na powietrze twarz (zwłaszcza skórę suchą) należy natłuścić dobrze tłustym kremem. Osoby ze skłonnościami do piegów winny używać środków przeciwdziałających tworzeniu się ich, jak np. chininę.

Krystyna Saramkowa

Z obserwacji przyrodników

Dziwy świata roślinnego

Świat roślinny jest po dziś niewyczerpanym źródłem niespodzianek, zadziwiając swymi niezwykłymi właściwościami nie tylko zwykłych śmiertelników. Słynni odkrywcy — podróżnicy, przemierzający tropikalne, czy podbiegunowe przestrzenie, liczne szeregi przyrodników, poświęcający długie lata pracy żmudnym i drobiazgowym badaniom niezwykłych cech roślin, wnoszą ciągle do skarbnicy już zdobytych osiągnięć nowe wartości.

Do najszybciej rosnących roślin na świecie należy bambus, który w przeciągu jednego miesiąca dosięgnąć może wysokości trzypiętrowego domu. W swoim czasie, w jednej z cieplarni paryskiego Jardin des Plantes obserwowano bambus, który codziennie powiększał się o 30 cm. Można było ten przyrost śledzić poprostu tak, jak posuwanie się wskazówek na tarczy zegara.

Niemniejszą szybkość wzrostu wykazują grzyby. Wiemy przecież, jakie plony zbierać możemy nawet i w naszych lasach, po deszczu i ciepłej nocy. Purchawka w ciągu jednej nocy osiągnąć może wielkość dyni. Znakomity angielski botanik, John Linddley obliczył, że grzyb ten po 12 godzinach wzrostu posiada 47 miliardów komórek, czyli co godzinę wytwarza około 4 miliardów, a co minutę 66 milionów. Istnieją gatunki pleśni, przechodzące w ciągu jednej doby wszystkie okresy życia: zjawiają się, wydają owoce i umierają.

Wzrost niektórych roślin możemy przyspieszyć sztucznie, przy pomocy odpowiednich środków. Z doświadczeń szkolnych znane są każdemu uczniowi, młodszych nawet klas, historie z szybciej kiełkującym grochem czy fasolą, namoczonymi w wodzie. Niezwykłe właściwości w tej dziedzinie posiada również kwas mrówczany. Polane nim nasiona, normalnie wschodzące po 8—10 dniach, już w 8—10 godzin dają nowe rośliny. Te specjalne właściwości mrówczanego kwasu wykorzystują w swych sztuczkach fakirzy, powodując rośniecie roślin w oczach zdumionych widzów.

Jeśli teraz z kolei sięgniemy do wręcz odwrotnych przykładów — to rekord powolności wzrostu należy się bez wątpienia mchom. Jeden ze znanych przyrodników, prof. Vaucher, w ciągu 40 lat prowadził obserwacje mchów, porastających dachy grupy starych budynków. Przez cały ten okres nie zauważył najmniejszej różnicy w ich przyroście. Podobne doświadczenia przeprowadził inny uczony, de Candolle, dochodząc w swych obserwacjach do przekonania, że mchy skalne sięgają zapewne czasów potopu.

Wiele roślin posiada właściwości tajemnicze, dotychczas jeszcze nie zbadane. Stwierdzono stosunkowo niedawno, że sok rośliny meksykańskiej „yaye" udziela człowiekowi, który się go napije, mocy pewnego rodzaju jasnowidzenia, a sam jego zapach wywołuje u osób wrażliwych wizje i halucynacje.

Są rośliny, zachowujące się tak, jak gdyby posiadały własności magnetyczne. Pewna roślina wodna, z rodzaju sagittaria rozkłada swe wielkie liście na wodzie zawsze w kierunku igły magnetycznej.

Ciekawe badania w tym kierunku przeprowadził znany uczony hinduski, Chander Bose, dyrektor Instytutu Botanicznego w Kalkucie. Poddawał on całe grupy roślin działaniu pól elektromagnetycznych, obserwując ich różnorodną reakcję. Jedne z doświadczalnych roślin zamierały, inne zaś rozwijały się znakomicie, dochodząc w swym rozwoju do znacznie piękniejszych egzemplarzy, niż w warunkach normalnych.

W Meksyku odkryto ostatnio roślinę, zwaną przez krajowców „chayote", którą śmiało zaliczyć można do rzędu najbardziej uniwersalnych; zużytkowuje się bowiem wszystkie jej części. Wielkie, soczyste owoce w kształcie gruszki dostarczają pożywnej potrawy, podobnej w smaku do dyni; delikatne, młode łodyżki mogą być przyrządzane jako jarzyna, przypominająca smakiem szpinak; liście spożywa się jako sałatę, korzenie mają smak ziemniaków, a pędy nasienne — szparagów. Na tym jednak nie kończy się uniwersalność „chayote". Duże, wyrośnięte łodygi używane są jako pasza dla bydła, z giętkich gałązek plotą krajowcy koszyki jak z najlepszej wikliny, wreszcie kwiaty „chayote" zachwycą najwybredniejszego miłośnika piękna.

W Chinach i Japonii znana jest bliska krewna naszej rzodkiewki, zwana „dajkon", o kłączach wagi 8—10 kilogramów. Rzodkiewka ta spożywana jest albo w stanie surowym, albo gotowana, a przysłowie japońskie mówi, że w okresie dajkonu lekarze nie mają nic do roboty. Świadczy to najlepiej o jej wartości dla ludzkiego organizmu.

Każdy z ogrodników wie doskonale, że roślina, obficie od korzeni odżywiana daje więcej liści niż kwiatów. Tym też tłumaczy się fakt pędzenia pewnych gatunków kwiatów w małych doniczkach. Azalie, kamelie itd. obficie osypane kwiatem, a sprzedawane zawsze w stosunkowo małych doniczkach, są najlepszym tego dowodem. I nasze pelargonie, wysadzane na balkony, jeśli zostaną w niewielkich doniczkach, przykryte tylko ziemią skrzynki balkonowej, zawsze też bujniej kwitną. Wrzos, w jałowym, suchym gruncie rosnący, równie bujnym pokrywa się kwiatem.

Fakty te są jeszcze jednym dowodem niesłychanej mądrości natury. Rośliny, czując się zagrożone w swym istnieniu, pragną wydać na świat jak największą ilość potomstwa, z którego — wobec niekorzystnych warunków bytu — tylko znikoma część nie zginie i będzie mogła dalej pełnić funkcje rozrodcze.

Niemniejszym zainteresowaniem badaczy i przyrodników cieszą się doświadczenia skrzyżowań poszczególnych odmian. Wiadomo, ile pracy i lat doświadczeń pochłonęła sprawa wyhodowania odmiany czarnej róży.

Czarny kolor kwiatów osiągnęli już hodowcy kilkakrotnie, wyniki te jednak nie rozwiązały zagadnienia, gdyż odmiany te już w następnym pokoleniu zatracały czarny kolor i wracały do jednego ze swych poprzednich. Dopiero stosunkowo niedawno udało się znanemu hodowcy amerykańskiemu, Alfredowi Englemanowi, wyhodować odmianę kwiatu o niezmiennie czarnym kielichu, który nazwał „czarnym kwiatem śmierci". Kwiat ten w ciągu siedmiu lat, kwitnąc corocznie, stale zachowywał piękną czarną barwę. Niezwykła jego nazwa wytłumaczona jest tym, że kwiat wydaje nieprzyjemny, trupi zapach. Nie odstręczyło to bynajmniej ekscentrycznych Amerykanów, którzy na wiadomość o niezwykłym wyczynie ogrodniczym, ofiarowali hodowcy za zdobycie „kwiatu śmierci" fantastyczne sumy.

EKRAN



Te oczy zobaczyły śmierć... (Pełna tragicznego wyrazu twarz z polskiego filmu „Ostatni etap")

„Ostatni etap"

Na ekrany całej Polski wszedł nowy, trzeci z rzędu, pełnometrażowy film polskiej produkcji powojennej, pt. „Ostatni etap".

Zanim przejdziemy do omówienia całości filmu, musimy sobie zdać sprawę z tego, że „Ostatni etap" ma dwa aspekty, równie ważne i wymagające równoległej oceny. Film ten bowiem ma nie tylko wydźwięk artystyczny, ale przede wszystkim jest on dokumentem, wizualną rejestracją „czasów pogardy", straszliwej rzeczywistości lat okupacyjnych. Czasy te — to zorganizowana nienawiść, zbrodnia obmyślona, jednakowo straszliwa w dymach płonących krematoriów i w suchych, bezosobowych statystykach, rejestrujących obojętnie, ale dokładnie każdą fazę tego biologicznego karczowania żywego narodu, od momentu ulicznej łapanki aż po druty obozu zniszczenia, od uciekających w popłochu ludzi aż po ich ostatni etap.

I to właśnie rejestruje film o Oświęcimiu. Rejestruje pilnie i bezbłędnie, ale i bez niepotrzebnego patosu. Ten doskonale wytrzymany umiar, dyskrecja środków koniecznych do przedstawienia zamierzonego celu, to jest prawdy i tylko prawdy — oto pierwszy atut „Ostatniego etapu".

Drugi niewątpliwy walor, to epika obrazu. Film jest dokumentem, mówiącym o milionach, bo w takiej cyfrze wyraża się prawda o życiu, śmierci, cierpieniach, rozpaczach i nadziejach — ludzi, którzy byli świadkami Oświęcimia. Ofiarami Oświęcimia były miliony, świadkami Oświęcimia pozostały miliony. To trzeba było przetłumaczyć na język filmu, tę właśnie olbrzymiość zbrodni należało dać w takiej projekcji, by wyrosła daleko poza plan i horyzont ekranu, by z tego ekranu przeszła w rozwarte ze zgrozy oczy tych, którzy dotąd nie potrafili sobie uświadomić skali koszmaru, ciążącego nad narodami podbitymi, w czasach okupacji.

„Ostatni etap" dał głęboką, choć może nie pełną perspektywę tego zagadnienia, którego nie chcieli byśmy pamiętać, choć nie wolno nam o nim zapomnieć.

Właśnie dlatego, najbardziej wstrząsającą wymowę w tym filmie mają sceny zbiorowe. W nich bowiem tkwi epika tamtych wydarzeń, one są argumentem na miarę światową. Wszelkie bowiem cierpienia czy tragedie, przeżywane w pojedynkę, w samotności, choćby były najbardziej przejmujące — pozostaną zawsze przeżyciami subiektywnymi, trudno sprawdzalnymi. Mogą wzruszyć, nie muszą przekonać.

Cierpienia, równoczesna tragedia milionów, skonfrontowana z widzem przekonywuje, mało: stwarza prawdę okrutną, nie do zniesienia. Dlatego przedtem mówiliśmy nie tylko o ofiarach, ale i o świadkach Oświęcimia.

I za to przede wszystkim, za celowe wydobycie i podkreślenie zbiorowości człowieczego cierpienia, należy się pochwała reżyserowi tego filmu, byłej więźniarce Oświęcimia i współautorce scenariusza — Wandzie Jakubowskiej.

Równolegle z tym naczelnym problemem, potraktowane zostały i sceny drobniejsze, czy indywidualne, z niespotykaną dotychczas w polskiej twórczości filmowej pieczołowitością w odniesieniu do szczegółów, mających tak wielki wpływ na artystyczną wartość każdego filmu. Niektóre z tych scen stoją na bardzo wysokim poziomie, jak scena pierwszego nalotu, „Marsylianka" śpiewana przez Francuzki, jadące na śmierć, czy bezosobowa a jakże wstrząsająca wędrówka obiektywu po składach z ubraniami zamordowanych więźniów.

Do powodzenia „Ostatniego etapu" przyczyni się niewątpliwie, trafny wybór wykonawców, z których wyróżniają się poza „gośćmi" (Huguette Faget, Tatiana Gorecka, Maria Winogradowa) — Wanda Bartówna w roli Heleny, Antonina Górecka (Anna), Alina Janowska (Dessa), Zofia Mrozowska (bardzo sugestywna Cyganka), Zofia Niwińska (pani Laura), Halina Drochocka (Lalunia), Aleksandra Śląska (świetnie ujęta „Oberaufseherin"), oraz Władysław Brochwicz (bardzo trafnie ujęta postać komendanta obozu).

Na specjalne wyróżnienie w tym filmie zasługują zdjęcia Borysa Monastyrskiego, które są współtwórczym elementem, uzupełniającym technicznie wszystkie artystyczne osiągnięcia „Ostatniego etapu". To samo odnosi się do sugestywnego i bynajmniej nie banalnie potraktowanego muzycznego opracowania Romana Palestera.

Są i wady. Najważniejszą z nich jest pewna arytmia napięcia uczuciowego, co w filmie tego rodzaju narzuca się specjalnie natrętnie. W efekcie — pierwsza część filmu jest mocniejsza w wyrazie i bardziej zwarta od drugiej. Traci na tym styl obrazu, zatraca się spoistość i logiczność akcji, która gubi się w nieco za nerwowo przeprowadzanych epizodach. Równolegle też do tego za mało jest wytrzymane zakończenie filmu, którego ciężar gatunkowy jest znacznie mniejszy od doskonale przeprowadzonej ekspozycji.

Szwankuje również czasami dźwięk. Z tego też powodu przepada niemal zupełnie, bardzo ważny moment: słowa tłumaczki Marty — będące zasadniczym zakończeniem filmu „... żeby nigdy więcej Oświęcim..."

Ale mimo to, a może właśnie dlatego, obejrzymy ten film wszyscy. Bo najlepszy to film ze wszystkich, kiedykolwiek w Polsce wyprodukowanych.

ALLAN

Album filatelisty

Zbiory specjalne



Z okazji przygotowującego się XI zlotu Sokołów w Pradze, wydana została w Czechosłowacji seria znaczków okolicznościowych. Kc 1,50 w kolorze jasno brązowym, Kc 3,— karminowy i Kc 5,— jasno niebieski. Znaczków dostarczyła Zachodnia Agencja Filatelistyczna, Katowice, 3 Maja 7.

Tylko bardzo zamożni ludzie mogą sobie dziś pozwolić na zbieranie znaczków z całego świata. Dla znakomitej większości zbieraczy pozostała możliwość specjalizacji, ograniczenia się do pewnych jednokierunkowych tematów. Należą do nich np. znaczki inflacyjne z ich niezliczonymi odmianami, znaczki lotnicze, stanowiące bardzo ciekawą, ale też niemniej kosztowną przyjemność itd.

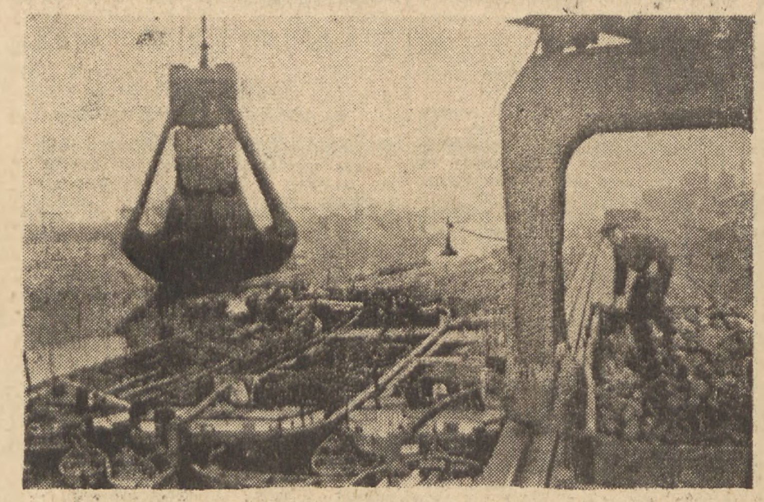
W ostatnich czasach dużym zainteresowaniem cieszą się tematy „motywów na znaczkach". Zbiory znaczków z podobiznami naukowców, muzyków, świętych, sławnych mężów stanu, tropikalnych zwierząt i roślin — to tylko parę przykładów tego bogatego działu.

Specjalizacja tego rodzaju umożliwia i mniej zamożnemu zbieraczowi skompletowanie w stosunkowo krótkim czasie ładnego zbioru.

Zbierać można nie tylko same znaczki. Bardzo ciekawy będzie np. zbiór „Rozwój poczty na Śląsku". Zawierać on będzie nietylko znaczki pocztowe, lecz również koperty, pocztówki, dowody wpłaty na przekazy pieniężne, ciekawe kasowniki pocztowe, fotografie mundurów pocztowych itp. Na każdej wystawie filatelistycznej spotkać można takie zbiory, podziwiane i wyróżniane nagrodami.

Ten sposób podejścia do zagadnień filatelistycznych, chroni filatelistykę przed zatraceniem swego właściwego charakteru i nie stwarza z niej tylko zagadnienia finansowego. (M.R.)

Płyną Odrą barki z węglem



Dźwig portowy przy pracy

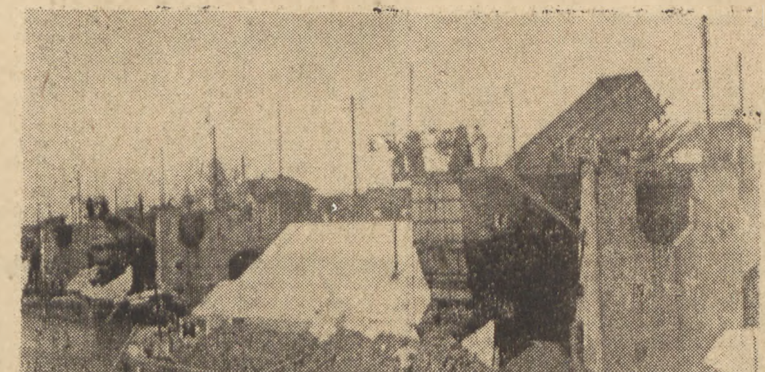
Fot. H. Makarewiczowa, Katowice

Po zimowej przerwie port w Koźlu znów rozpoczął swą normalną pracę, zapełnił się barkami i holownikami. Wywrotnice i dźwigi ładują bez przerwy węgiel, a fale Odry niosą w stronę Szczecina wciąż nowe transporty „czarnego diamentu".

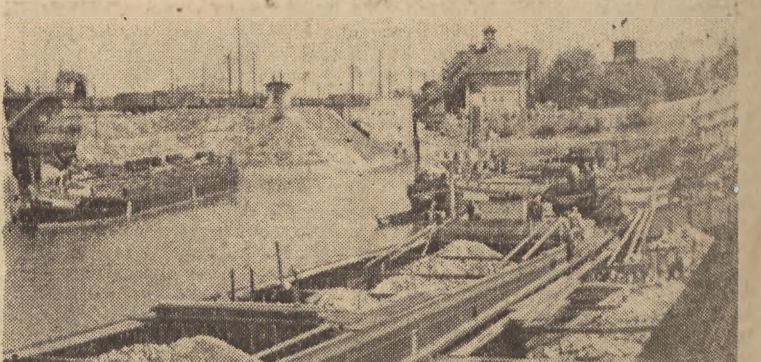
Na jedną barkę ładuje się przeciętnie 500—600 ton węgla. Tzw. „pociąg" składa się z holownika, który ciągnie przeważnie trzy barki, jeden więc transport to 1500 — 1600 ton, a więc około 150 wagonów.

W tym roku jeden z basenów w Koźlu otrzyma Czechosłowacja. 60 barek czeskich, holowanych przez czeskie holowniki, przywozić będzie ze Szczecina szwedzką rudę dla Czech, a z Koźla transportować polski węgiel dla Szwecji.

Transport — to jeden tylko z fragmentów pracy. Rosnący tabor rzeczny, ciągle nie wystarczający, zwrócił uwagę na zatopione barki, leżące bezczynnie na dnie Odry. Wydobywa się je teraz, poddaje gruntownemu remontowi w jednej ze stoczni a następnie przekazuje do nowej służby na wodach Odry, już pod polską banderą!



Ładowanie węgla na barkę



Przygotowywanie „pociągu" do drogi



„Pociąg" wpływa do śluz



Podnoszenie barek z dna Odry